

## O niby grzechach męża stanu [FELIETON]

Jeśli kto ma w sercu szczytę prawdziwej czci dla własnego państwa, to musi być dlań rzeczą najoczywistszą na świecie, iż od przywódcy kraju czy szefa rządu nie wymaga się rygorystycznego przestrzegania każdego znaku zakazu skrętu w lewo. Dlaczego się nie wymaga? Bo wymaga się odeń czegoś nieporównanie większego – pisze Jan Rokita w kolejnym felietonie z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”.

Niespodziewanie zaraza wyzwoliła w demokratycznej Europie falę zawistnego egalitaryzmu. A stało się tak przy okazji licznych, zmieniających się, często zbędnych, a czasem po prostu nonsensownych zarządzeń sanitarnych wydawanych przez władze. Wkrótce miało się okazać, że politycy ze szczytu władzy sami nadziewali się na własne zarządzenia, dając wrogom politycznym i mediom okazje do wszczynania przeciw samym sobie egalitarno-populistycznych krucjat. Może najbardziej groteskowy jest przykład premiera Rumunii Ludovica Orbana, którego pech polegał na tym, iż na czas zarazy przypadły jego urodziny. Jak nietrudno się domyślić, tego dnia do biura premiera zeszli się ministrowie z życzeniami, a tu ugoszczono ich koniakiem i ciasteczkami. Niestety, któryś z ukrytych w rządzie wrogów premiera (zwykła to rzecz w polityce) zrobił zdjęcie z tej posiadówki, po czym udostępnił je lewicowej opozycji. Skutki? Potężna kampania dezawuuująca moralne kwalifikacje Orbana do kierowania państwem. Oto typowy komentarz opozycyjnego polityka pod owym zdjęciem na facebooku: „Takie rzeczy dzieją się w biurze premiera jak rządzą liberałowie. Wstyd!” No i spora grzywna nałożona

przez wymiar sprawiedliwości na premiera (w przeliczeniu ok. 3000 zł) za... spotkanie się bez maski z osobami wspólnie nie zamieszkującymi (czyli członkami własnego rządu).

*Przesadne, niekiedy źle  
pomyślane, albo nawet i  
groteskowe restrykcje  
wydawane w czasie zarazy,  
stworzyły swoistą rozrywkę  
dla mediów i gawiedzi,  
próbującej złapać męzków  
stanu na niestosowaniu się do  
własnych zarządzeń*

W Polsce taki  
perwersyjny rodzaj  
praworządności jest  
chyba mniej  
respektowany, skoro  
premierowi  
Morawieckiemu  
uszła na sucho rzecz  
gorsza. Z panem  
wojewodą śląskim  
udał się do  
restauracji  
niezwłocznie po tym,

jak sam zezwolił na otwarcie publicznej gastronomii. Jacyś piarowcy doradzili zapewne premierowi, że taka wizyta w knajpie propagandowo uwypukli doniosłość decyzji o uwolnieniu gastronomii. Tyle tylko, że Morawiecki zapomniał, iż początkowo pozwolił siedzieć przy jednym stoliku bez masek jedynie członkom tego samego gospodarstwa domowego. Kiedy więc postawiono pytanie, czy premier istotnie mieszka wspólnie z owym wojewodą, najpierw urząd premiera usiłował coś kręcić, ale na drugi dzień rzecznik został upoważniony do złożenia przeprosin. Jednak ani premier osobiście nie pokajał się przed narodem, ani sądy nie wykorzystały okazji do nałożenia nań kary. Trzeba przyznać, że Morawiecki miał więcej szczęścia niżli jego partyjny zwierzchnik, którego wizyta na zamkniętym przez rząd cmentarzu stała się – kto wie czy nie najbardziej doniosłym, pamiętanym i popkulturowo uświęconym w piosence wydarzeniem z

epoki zarazy. Nawet głowa państwa nie omieszkała snuć publicznych dywagacji na temat wielkości fortuny, jaką zbije pop-muzyk, który ułożył i zaśpiewał ów szlagier czasu zarazy. Zaś analitycy od słupków wyborczych, wpatrujący się w każde ich najmniejsze drgnięcie, orzekli, iż wizyta szefa partii rządzącej na zamkniętym cmentarzu może okazać się największym problemem obozu władzy w toku prezydenckiej kampanii wyborczej.

Cały problem może wyglądać groteskowo, ale przestaje takim być, jeśli spojrzeć na zachowania tych przywódców państw, którzy postanowili dochować bezwzględnej obediencji wydanym przez siebie nadzwyczajnym zarządzeniom. Bodaj najskrajniejszym przykładem egalitarnej pryncypialności okazuje się holenderski premier Mark Rutte. Ów przywódca obozu niderlandzkich liberałów pochwalił się w sieci tym, że w jakimś domu starców właśnie umarła jego matka, ale zgodnie z wydanym przez siebie zakazem, on sam nie pojawił się przy jej łóżku aż do chwili śmierci. Media zapały z zachwytu nad praworządnością Ruttego, ale prawdziwy zachwyt gawiedzi wzbudził nie tyle respekt szefa rządu dla przepisów, co teatralny gest kultu dla gminnego egalitaryzmu. Rutte wywołał u swoich rodaków ten sam rodzaj zachwytu, jaki nieco wcześniej udało się bardziej spontanicznie wzbudzić Sergiemu Matarelli – prezydentowi Włoch, którego przypadkowo nagrano, jak tłumaczy komuś tam, iż nie jest dziś dobrze uczesany, bo w czasie zarazy nie wolno przecież chodzić do fryzjera.

Przesadne, niekiedy źle pomyślane, albo nawet i groteskowe restrykcje wydawane w czasie zarazy, stworzyły swoistą rozrywkę dla mediów i gawiedzi, próbującej złapać mężów stanu na niestosowaniu się do własnych zarządzeń. W normalnych warunkach taka demokratyczna rozrywka też wprawdzie występuje, tyle tylko, że jest znacznie mniej

*Niektórzy co bardziej  
fanatyczni egalitaryści  
próbują z owej rozrywki  
gawiedzi zrobić rzecz  
arcypoważną, ba... miernik  
jakości i przyzwoitości władzy*

okazji do nakrycia  
ludzi władzy na  
takich

niepraworządnościach. Ulubionym zajęciem tabloidów jest wtedy prowadzenie śledztw dziennikarskich w takich kwestiach, jak pogwałcenie przez rządową limuzynę zakazu skrętu w lewo, albo częściej – limitu prędkości czy zakazu parkowania. Niektórzy co bardziej fanatyczni egalitaryści próbują jednak z owej rozrywki gawiedzi zrobić rzecz arcypoważną, ba... miernik jakości i przyzwoitości władzy. Specjalnie cmentarny *casus* Kaczyńskiego wyzwolił Himalaje tego rodzaju moralizatorstwa. Tymczasem patrząc na całą rzecz z perspektywy państwa, trudno doprawdy o większy nonsens, niżli owo egalitarystyczne moralizatorstwo. Jeśli kto przecież ma w sercu szczyptę prawdziwej czci dla własnego państwa, to musi być dlań rzeczą najoczywistszą na świecie, iż od przywódcy kraju czy szefa rządu po prostu nie wymaga się rygorystycznego przestrzegania każdego znaku zakazu skrętu w lewo. Dlaczego się nie wymaga? To proste. Bo wymaga się odeń czegoś nieporównanie większego: dobrych rządów, a przy tym całkowitego poświęcenia życia prywatnego dla sprawy publicznej. Gość z Elei w „Polityku” ujmuje tę samą myśl piękniejszymi słowami. Mówi: „Cokolwiek by robili rządzący, o ile są rozumni, to w niczym nie mają grzechu, jeśli tylko mają respekt dla jednej zasady: aby zawsze najsprawiedliwiej postępować wobec obywateli”.

*Jan Rokita*

Przeczytaj inne felietony Jana Rokity z cyklu „Z podbieszczadzkiej wsi”